

RW2010

JOANNA ŁUKOWSKA



różne oblicza miłości

Od pierwszego
dotyku

JOANNA ŁUKOWSKA
OD PIERWSZEGO DOTYKU
zbiór opowiadań

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Redakcja: Maciej Śłużyński

Korekta: Natalia Szczepkowska, Robert Wieczorek

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Joanna Łukowska 2013

Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński 2015

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2015

e-wydanie I

ISBN 978-83-63598-46-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Pedant i gaduła

– Głasz... mnie! – rozkazała, moszcząc się w jedynym łóżku.

– He? – Nie zrozumiałem, o co prosi; bąbelki mocno wpływały na jej wymowę. W Nowy Rok, gdy całe schronisko odsypiało lub leczyło kaca, ona ululała się francuskim szampanem, który przyjechał z nami z Poznania. Przetrwał ostatnią noc, bo Weronika tyle biegła, tyle tańczyła i tyle gadała, że nie miała czasu na raczenie się trunkami. A to, co w przelocie wypięła, zaraz z niej parowało. I dobrze, dość miałem roboty z pilnowaniem trzeźwej Weroniki. Zbyt śmiało się ubrała moim zdaniem, ale – co tu kryć – pięknie wyglądała w zielonej, obcisłej sukience. Z dekoltem, owszem, na plecach, za to do... pasa! Czyli nie miała stanika. Inni też to zauważyli. Dodajmy do tego burzę rudych włosów, porcelanową biel skóry – i mamy gotowy przepis na kłopoty. Faceci, patrząc na nią, dostawali wilczych zębów. Musiałem pilnować, by żaden jej nie schrupał. Taka rola opiekuna. Nie migąłem się od obowiązków, bylebym rozumiał, o co w nich chodzi...

– Gła...szcz mnie – powtórzyła nieco wyraźniej. – Po pleckach, inaczej nie zasnę. – Obróciła się, nadstawiając plecy do pieszczoty. Przy okazji wypięła tyłeczek i momentalnie naszły mnie kosmate myśli. Wahałem się. Zacznę ją usypiać głaskaniem, a skończy się na Bóg wie czym! Z tą szaloną dziewczyną wszystko się mogło zdarzyć.

– No, dalej, gła...szcz mnie, ja tu sz...czekam! – pogoniła mnie.

Jak odmówić tak uroczej prośbie? Raz kozie śmierć. Położyłem się obok niej, dla przyzwoitości okryłem nas oboje kołdrą; dopiero wtedy wsunąłem rękę pod bluzę różowego dresu i zacząłem głaskać ją po nagich plecach. Mruczała zadowolona. Zachęcony, rozpostarłem dłoń i delikatnie przejechałem paznokciami od nasady piegowatej szyi po kość krzyżową. Jęknęła, wygięła się, przez jej ciało przebiegł dreszcz, jasne włoski stanęły dęba. Szlag!... Nerwowo przełknąłem ślinę, bo ja też...

stanąłem na baczność. Fatalna sprawa. Miałem swoje zasady i nie wykorzystywałem kobiet, zwłaszcza pijanych. Ale krew nie woda. Oj, ciężka to będzie noc, jeżeli zaraz nie zaśnie...

Postanowiłem więc nie eksperymentować i przestałem na grzecznym głaskaniu okolic łopatek. Wyłącznie. Rany, co ta dziewczyna miała w sobie takiego, że działała na mnie jak narkotyk? Urody jej nie brakowało, ale znałem ładniejsze i z lepszym gustem, takie, które na przykład wiedziały, że rudy gryzie się z różowym. Jako architekt wewnątrz preferowałem prostotę stylu, minimalizm w detalach, stonowanie w kolorach. Roztrzepana, chaotyczna Weronika nie pasowała w ogóle do mojego pedantycznego świata. A jednak Robert, jej brat, a mój współnik, uznał, że skojarzy nasze dwa samotne serca przy okazji podwózki.

– **Błagam**, podrzuć ją na miejsce, bo sama gotowa zginąć! – rzucił dramatycznie do słuchawki zamiast wigilijnych życzeń.

– Powoli. Kogo i gdzie? – spytałem spokojnie, w opozycji do popędliwości Roberta. Również nasze style pracy się różniły. On wolał ciepły, prowansalski, bazujący na litym drewnie, ja – chłodniejszy, urbanistyczny, z przewagą metalu; ale właśnie dlatego jako współnicy w interesach świetnie się dopełnialiśmy. Wszak klienci trafiali nam się najrozmaitsi.

– No moją stukniętą siostrę, Werę. Do Karpacza, tego w Karkonoszach, a konkretnie do Strzechy Akademickiej, gdzie, hello, spędzimy kilka miłych dni wraz z Sylwestrem. Zapomniałeś? To przypominam. Jak dojedziesz do Karpacza, parkujesz u znajomego górala, adres ci podałem. Potem łapiesz manele i drałujesz pod wyciąg. Krzeselkiem wjeżdżasz na Kopę, tylko musisz zdażyć przed szesnastą, przed fajrantem. Ze stacji górnej najpierw idziesz szlakiem czarnym, a po pięciu minutach skręcasz w prawo i tyczkowanym szlakiem pedałujesz prosto do Strzechy. Jasne? Jasne. Tłumaczyłem ci już. Weronice zresztą też, nawet sobie notatki zrobiła,

pani polonistka, ale... rany!... jak ta kobieta się zamyśli albo zagada, potrafi zablądzić we własnym bloku! Ratuj, chłopie! Miała jechać z nami jutro, ale nie może, bo jej opiekunka do kota się rozchorowała. Uwierzysz?! Musi mu znaleźć nową nianię, co trochę potrwa. Już dwa hotele dla zwierząt nie zdały egzaminu. Ty i tak chciałeś dołączyć do nas dopiero po świętach, więc co ci szkodzi wziąć jednego, lekkiego pasażera. Dam ci jej numer, zgadajcie się, umówcie na wspólną podróż. Proszę, wiem, że nie lubisz takich nagłych niespodzianek, ale bądź przyjacielem. W ogóle, wiesz... tak sobie myślę, że to by nawet dobrze się złożyło. W drodze poznacie się lepiej, może zaiskrzy... Od dawna uważam, że świetnie byście się uzupełniali. Tak jak my w robocie. To powinno zadziałać, zażreć...

– Wątpię – wreszcie uznałem za stosowne się wtrącić. – Z tego, co opowiadasz, Weronika, bez obrazy, nie jest absolutnie w moim guście.

– Wiem, jest ruda, gorąckrwista i pyskata, a ty gustujesz w dystyngowanych brunetkach, chłodnych i wycofanych. Z takimi preferencjami kiedyś w łóżku zamarzniesz. Weronika zaś nawet podobnego tobie bałwana rozrusza, he, he! – zaśmiał się rubasznie. – Niestety bywa też naiwna i za często trafia na drani. Stąd ten fioł na punkcie kota, świetnie się ponoć wyplakuje w jego futro. Ale ty... ty byś jej krzywdy nie zrobił, honorowy z ciebie gość. Więcej, ty byś jej przypilnował, żeby gdzieś głowy nie zgubiła. Co ty na taką transakcję związaną?

– Robert... czy ty mi rajfurzysz własną siostrę? Daruj sobie. Dostarczę ci ją w całości, ale więcej nie oczekuj. Oczywiście, o ile w ogóle pojedę, bo nadal nie widzę siebie, spędzającego, hm, miłe chwile w zatłoczonym schronisku. Gdzie my tam będziemy spać, jak z tym niby zaklepanym od wieków pokojem nie wypali?

– A choćby pokotem na podłodze w jadalni! – huknął. – Zresztą czemu pokój, na który wpłaciłem zadatek jeszcze latem, miałby na nas nie czekać? Nie bądź takim przewidującym najgorsze sztywniakiem. Poza tym była umowa. Zeszłego Sylwestra spędziliśmy po twojemu, z klientami, kontrahentami, na dętym balu. Mało sobie

szczęki nie zwichnąłem od sztucznych uśmiechów. Teraz ty się poświęcisz. Dałeś słowo, a przecież u ciebie słowo droższe pieniędzy. Masz te swoje zasady.

I właśnie z powodu moich zasad parę dni później, dwudziestego dziewiątego grudnia, stałem pod blokiem Weroniki, czekając, aż raczy zejść. Umówiliśmy się na siódmą rano. Punkt. Ze sporym zapasem powinniśmy zdążyć przed szesnastą. O ile wszyscy będą punktualni, a moja pasażerka miała już dziesięć minut spóźnienia. Na lekcje też przychodziła tyle czasu po dzwonku?

Wreszcie wyszła z klatki. Z nartami na ramieniu i plecakiem. Mało bagażu wzięła – dobrze, ale... w co ona się ubrała?! Wielkie trapery, dopasowana pomarańczowa kurtka z futerkiem przy kapturze. Do tego nepalska czapka, zielone getry, pasiasty szal z różnokolorowymi pomponami oraz zamszowa torba z frędzlami. Pomieszanie z poplątaniem! I ona miała mnie uzupełniać? Zbytek łaski. Tym bogactwem barw i dodatków mogła obdzielić pułk wojska!

Zatrąbiłem i wysiadłem z auta. Dostrzegła mnie, pomachała ręką na powitanie i uśmiechnęła się promiennie. Zupełnie bezwiednie odpowiedziałem tym samym. Tak dowiedziałam się ważnej rzeczy o Weronice: miała bardzo zaraźliwy uśmiech.

– Już jestem, wybaczn spóźnienie, ale musiałam wyjaśnić sąsiadce, która zajmuje się moim kotem, że Alojzy nie pija mleka. Absolutnie i pod żadnym pozorem, bo dostaje od niego łupieżu. Dziwiła się, bo przecież od małego indoktrynują nas, że kotki lubią mleczko, dlatego tyle to zajęło – zalała mnie wartką rzeką słów. Nieodrodna siostra swego brata; choć czułem przez skórę, że Robert był przy niej amatorem.

Otworzyłem bagażnik. Wsadziłem tam plecak, narty dołączyły do mojej deski snowboardowej na dachu. Potem, przy wtórce opowieści na temat wyższości prawdziwych choinek nad sztucznymi (zdumiewający skok myślowy od kociego łupieżu), otworzyłem przed Weroniką drzwi i szarmanckim gestem wskazałem siedzenie. Uniosła brwi i obdarzyła mnie takim spojrzeniem, że poczułem, jak

rozgrzewa mnie od środka jakieś miłe ciepło. Tak dowiedziałem się kolejnej ważnej rzeczy o Weronice: sprawiała, że ludzie w jej towarzystwie czuli się lepsi, wspaniali. Niedobrze...

– Ja nie miałem choinki, wcale – mruknąłem.

– Ani jednej gałązki, ani jednego małego stroika? Dla zapachu i nastroju?
– dopytywała się.

– No... – zawahałem się, bo mnie przyłapała. Jako pedant nie znoszę opadającego igliwia, ale... – Owszem, kupiłem na bazarze gałęzie jodłowe i przystroiłem srebrnymi ozdobami – przyznałem się.

– A widzisz! – krzyknęła triumfalnie i za karę uraczyła mnie podwójną dawką swego czaru: promiennym uśmiechem oraz pełnym aprobaty spojrzeniem, od którego stopniałem jak lód na patelni.

Ruszyliśmy.

Ja prowadziłem, starając się skupić na drodze. Ona gadała; o Gwiazdce w szkole, butach odziedziczonych po bracie, kocie znalezionym na śmietniku. Przedstawiła mi niezwykłą historię swej nepalskiej czapki, opowiedziała emocjonujący przebieg licytacji na Allegro, w trakcie której wygrała torbę z frędzlami. Chryste, że też jej w ustach nie zasychało! Była niezmordowana i, o zgrozo, interesująca. Spotkałem już w życiu kilka gadułów, zamęczających słuchaczy nudnymi opowieściami, które nikogo poza nimi nie obchodziły. Ale Weronika mogłaby zarabiać gadaniem; zwykle historyjki nabierały w jej rozgestykulowanym, barwnym wykonaniu cech kryminału. Zaśnięcie za kierownicą mi nie groziło. Czas mijał niepostrzeżenie, zachłannie łykaliśmy kilometry. Z czystej ciekawości zapytałem:

– Czy ty się czasami zamykasz?

– A mam? – Zmartwiła się. – Bo jeśli cię rozpraszam, już milczę. Potrafię!
– zapewniła solennie i przez bitych osiem minut nie odezwała się słówkiem.

Wyraźnie ją to bolało, do momentu gdy zapatrzyła się w krajobraz za oknem. Błądziła myślami wśród gór majaczących na horyzoncie, uciekła marzeniami gdzieś wysoko, daleko; aż poczułem ukłucie żalu, zazdrości. Dlaczego? Bo marzyła czy... bo marzyła beze mnie? Chrząknąłem. Ocknęła się i już po chwili zaczęła się niecierpliwie wiercić.

– Powiedz, kiedy mogę przestać milczeć.

– Kiedy – ulitowałem się.

– Uff... Dzięki. Jakby mnie coś swędziało pod gipsem. Kiedyś złamałam rękę i musieli mi...

Popłynęła kolejna historia z jej jakżeż fascynującego – o dziwo! – życia nauczycielki języka polskiego.

Dwie godziny później stanęliśmy pod wyciągiem. Zdyszani i spoceni – wymęczeni wędrówką pod górkę od domu tubylca, gdzie za sutą opłatą zostawiłem auto. Niestety nasz wysiłek zdał się na nic. Co z tego, że było ledwie wpół do drugiej, sporo przed fajrantem, bo chwacko się uwinęliśmy, skoro z powodu zbyt dużego wiatru krzeselko nie działało. Szlag by to trafił! Zerknąłem na Weronikę. Zgarbiła się i przygryzła wargę, jakby walczyła ze łzami. Ogarnęły mnie bezradność i złość. Ale nie Weronikę! Wargę najwyraźniej przygryzła w zadumie, bo wymyśliła:

– Idziemy piechotą! Szlakiem żółtym. Albo czarnym. Robert coś napomykał o takiej opcji, ale nie pamiętam dokładnie, trzeba sprawdzić bądź zapytać. Bo jedna trasa biegnie starym torem saneczkowym i bezpiecznie, w półtorej godziny, doprowadzi nas do Strzechy, a druga zimą jest zamknięta ze względu na zagrożenie lawinowe, więc lepiej się nie pomylić. Ale powinien być jakiś drogowskaz, nie sądzisz? No, dalej, ruszamy! – zaordynowała i dalejże zakładać plecak, zarzucać narty na ramię.

– Stój! Zwariowałaś? – powstrzymałem ją ciut ostrzejszym tonem, bo bredziła jak potłuczona. W jednej chwili pojąłem, czemu Robert uważał, że jego siostra

potrzebuje Anioła Stróża. Już pomysł wędrowni od górnej stacji wyciągu do schroniska mało mi się podobał, ale przynajmniej byśmy szli po płaskim albo po niewielkiej pochyłości w dół. A ona chciała zdobywać Kopę! – W półtorej godziny? Chyba kpisz! W kopnym śniegu, pod górę, z plecakami i sprzętem, z wiatrem w oczy? Pomnóż ten czas przed dwa albo lepiej trzy. O ile się wcześniej nie zgubimy, bo zacznie się ściemniać. Dlatego nie ma mowy. Wy-klu-czo-ne! – wyskandowałem. – Czeka tu i nie waż się ruszyć, coś wykombinuję.

– Dobrze – zaszemrała.

Jej szalona koncepcja miała jednak pewien plus. Bezradność mnie opuściła, złość przerodziła się w chęć działania. Skutecznego, bo nie było opcji, bym włąził na tę przeklętą górę!

Pół godziny zajęły mi negocjacje z obsługą wyciągu i goprowcami. W końcu znalazłem chętnego, który za godną opłatą zgodził się nas podwieźć do samej Strzechy.

– Skuter... – Weronice zaświeciły się oczy. – Pojedziemy na skuterze śnieżnym! – Zaklaskała w dłonie jak mała dziewczynka. Potem spojrzała na mnie tak pełnym podziwu wzrokiem, że urosłem w dumę o jakieś dwa metry. Bagaż trafił do przyczepki, my na siedzisko. Chyba nie muszę dodawać, że nawet wciśnięta między mnie a kierowcę, z ograniczonym polem widzenia, Weronika nadawała na okrągło, zachwycając się urokami krajobrazu. Niesamowita kobieta!

Do jakiego stopnia była nieprzewidywalna, przekonałem się już w schronisku, zatłoczonym oczywiście po dach. Znajdź tu teraz Roberta... Weronika, kierowana siostrzanym instynktem, odnalazła go bez trudu w rojnej jadalni. Na nasz widok ucieszył się i zmieszał jednocześnie. Wyczułem kłopoty.

– Czyżby nie było dla nas pokoju? – zapytałem bez wstępów.

– No... jest, ale zajęty. Nie sądziłem, że dziś dotrzecie, skoro krzeselko nie działa. Więc przygarnęliśmy znajomych Majki – uśmiechnął się do swojej

narzeczonej – których tu przypadkiem spotkaliśmy. Przecież nie mogłem pozwolić, by spali z dzieciakiem na korytarzu.

– Cholera, a ja mam kimać pod drzwiami? Marzę o prysznicu i drzemce. Teraz nic z tego. No pięknie mnie, drogi przyjacielu, urządziłeś! I swoją siostrę też. W ogóle, gdzie ona jest?! – zdenerwowałem się.

Weronika zniknęła. Rozejrzałem się czujnie i dostrzegłem ją; gadała z postawnym brodaczem, który wyglądał na szefa. Wskazywała na mnie i coś zawzięcie perorowała. Facet przyglądał mi się chwilę z dziwnym wyrazem twarzy, ni to litości, ni zazdrości. Potem uśmiechnął się pod nosem, sięgnął do kieszeni i dał jej klucz. Wera zdobyła pokój!

– Ile cię to kosztowało? – zainteresowałem się.

– Nic. Chętnych na ten pokój jest tylu, że kasa przestała mieć znaczenie. Postanowił odstąpić swoją jedynekę temu, kto przedstawi istotny powód...

– Rany, to coś ty mu naopowiadała?!

– Że się założyliśmy. Albo zdobędę jakiś pokój, albo będę się musiała z tobą przespać, znaczy iść do łóżka. Znaczy uprawiać seks – wyjaśniła wyczerpująco.

Hm, wolałbym, żeby była bardziej enigmatyczna. Raz poruszone struny wyobraźni nie chciały umilknąć i wciąż podsuwały obrazy: ja i ona, razem, tak razem, że bardziej nie można...

Następnego ranka obudziła mnie o świcie i zaraz po śniadaniu wyciągnęła na narty. Pogoda, jak to w górach, odmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni. Wiatr ustał, świeciło piękne słońce, śnieg był cudnie sypki, wszystkie wyciągi działały, w tym te pod Strzechą: Grosik i Złotówka.

Na stoku dowiedziałem się kolejnej rzeczy o Weronice. Może nie jeździła stylowo i nie posiadała najnowszego sprzętu, za to pędziła jak sam szatan. Z trudem za nią nadążałem na swoim wysokiej klasy snowboardzie. Parę razy zamarłem, widząc, jak zmierza prosto na czołowe zderzenie, ale w ostatniej chwili robiła skręt.

Obrzucała zdumionego osobnika lub niewzruszone drzewo śniegiem oraz perlistym śmiechem i szusowała dalej. A ja za nią.

W pewnym momencie uderzyło mnie, że mógłbym się do tego przyzwyczaić. Podążać za tą szaloną dziewczyną, pilnując jej i czekając, z czym nowym wyskoczy – całkiem miły sposób na życie. Na pewno nuda by mi nie groziła. Poznanie Weroniki było jak przeskok z leniwej, uregulowanej rzeki do wartkiego, wezbranego powodzią potoku. Czy dlatego ogarniał mnie strach? Nie, nie przygód się obawiałem. Sprostalbym im, przy Weronice dałbym radę niedźwiedziowi i Himalajom. Tak się w każdym razie czułem, jak heros – wielki, silny, wspaniały. Bałem się natomiast, że ona mogła mieć zupełnie inny pomysł na nasze wzajemne stosunki.

Minął kolejny dzień, nastał Sylwester, a ona dalej traktowała mnie jak kumpla. Czy kobieta zainteresowana facetem bez żenady zaprasza go do jedyne go łóżka, by spali ze sobą na waleta? Chyba nie. Czowała się przy mnie zbyt bezpiecznie. Jako mężczyźnie wcale mi to nie pochwalało. Diabli też wiedzą, co Robert jej nagadał? Jeżeli zareklamował mnie jako honorowego dżentelmena, co to uszanuje dziewczynę, otoczy opieką i palcem nie tknie bez wyraźnego życzenia – miałem przerąbane. Wyjść z tak napisanej roli, to wyjść na świnię.

Jednak trochę wyszedłem. Po prostu nie wytrzymałem. Najpierw szczęka opadła mi do kolan, kiedy na sylwestrową noc Weronika zamieniła swój różowy, puchaty i aseksualny dres na obcisłą, wydekoltowaną sukienkę. Zieloną, podkreślającą kasztanowy kolor włosów i biel cery, w której ślicznie wyglądała. I piekielnie seksownie. Nie dziwota, że chętnych do tańca nie brakowało. Do całowania i ściskania o północy też. Gdy jeden, już w Nowy Rok, przesadził z przytulaniem, a jego łapska pobłądziły za daleko w dekolt – nie zdzierzyłem. W ostrych, żołnierskich słowach kazałem gościowi spadać. Posłuchał. Gorzej, że się zdradziłem. Dziewczyna przekrzywiła głowę, przyjrzała mi się spod zmrużonych powiek i westchnęła:

– Ach, więc to tak...

A tak! Czyli już wiedziała. Wszystko. Ja zaś nadal pozostawałem ciemny jak tabaka w rogu. Czy miało jakieś znaczenie, że kazała mi tańczyć ze sobą tango?

– Nie umiem – burknąłem.

– Nie musisz. To się czuje albo nie. Wolny, wolny, szybki, szybki, jak w fokstrocie – pouczyła mnie co do kroków – tak też można. Wsłuchaj się w muzykę i prowadź. Ja się dopasuję i pójdę za tobą, wszędzie.

– Chciałbym w to wierzyć, Weronka, bardzo – wyszeptalem w jej piękne rude włosy. Potem objąłem ją, przyciągnąłem do siebie, by ciałem wyczuwała moje intencje i... ruszyliśmy do tanga. Magiczne to były chwile. Trzy minuty czarów. Zaufaliśmy sobie nawzajem i przynajmniej w tańcu stworzyliśmy cudownie dopasowaną parę. Zatraciliśmy się w muzyce, w sobie, Weronika płynęła wraz ze mną, reagując na każdy najdrobniejszy ruch, poddając się bez oporu mojej niewypowiedzianej woli. Nie potknęliśmy się ani razu, nie zawahaliśmy ani przez moment. Doceniono to. Gdy piosenka się skończyła, okazało się, że tańczyliśmy sami, reszta się wycofała, oddając nam pole, czyli parkiet. Na koniec otrzymaliśmy gromkie brawa. Najgłośniej klaskał Robert, potem uniósł w górę dwa kciuki.

A Weronika? Nad ranem z powrotem zamieniła sukienkę na dres i poszła spać. Odsuwając się i robiąc mi miejsce, bym i ja się położył. Czyli, mimo ognistego tanga, nic się nie zmieniło w naszych kumpelskich relacjach i kolejną noc spędziliśmy, śpiąc na waleta. Może powinienem się odważyć i otwarcie z nią porozmawiać?

Nie dała mi okazji. Ledwo się obudziła, umknęła. Najpierw w śnieżne szaleństwo na stoku, potem w... bąbelki. Jakby naprawdę uciekała, a przynajmniej unikała wyznań. Hm, jeżeli taki miała plan, to zawiódł. Ululana na perłowo i pograżona we własnych myślach, zapomniała, z kim rozmawia i zaczęła mi się zwierzać.

– Chyba się zakochałam. Jest taki akuratywny, poukładany, zaplanowany... Nie lubię takich, nie lubiłam... ale on mi się podoba, bo jest też opiekuńczy, szarmancki, cierpliwy i umie słuchać. Przy nim czuję się bezpieczna i piękna, bo... patrzeć też umie. Rany, jak on patrzy czasami!... Aż boję się to zepsuć. Robert mówi, że pasujemy do siebie, a jak nie? Pocałujemy się i... kiszka, nie zaiskrzy, co wtedy? Rany, byłoby szkoda... Ech, mimo wszystko nie miałam się za tchórza... – chlipnęła płaczliwie.

Wziąłem ją na ręce i zaniósłem do pokoju. Położyłem do łóżka. Wtedy wyjechała z tym dziecinnym głaskaniem po plecach, kiedy ja miałem ochotę na coś zdecydowanie bardziej dorosłego. Poprzestałem jednak na głaskaniu, którym uśpiłem nas oboje. Zawsze jakiś zysk, tej nocy nie spaliśmy na waleta, tylko na łyżeczkę.

Ocknąłem się, gdy wymykała się z moich objęć. Celowo nie zareagowałem. Wróciła po kwadransie. Po zapachu kokosu i mięty poznałem, że wzięła prysznic i umyła zęby. Uśmiechnąłem się, rozczulony tymi staraniami. Wślizgnęła się z powrotem na swoje miejsce, które było właśnie tu, w moich ramionach, i powiedziała:

– Już, możesz przestać udawać, że śpisz. Bądź dzielny i pocałuj mnie. Przekonajmy się, czy będzie tak sobie, czy jak w tangu. Nasze usta się zetkną, języki spleją, zniknie świat dookoła, zaczną się czary, których nieporadne słowa nie wyrażą....

– Więc się zamknij – poradziłem i zgodnie z życzeniem pocałowałem ją.

Było magicznie.

Zapomniałam

Obudziłam się z dziwnym wrażeniem zagubienia. Gdzie ja jestem? Białe sufit, przezroczyste ściany, specyficzny zapach... czego?... Szpitala. Co ja robiłam w szpitalu? Podłączona do jakiejś pikającej i mrugającej aparatury?! Przestraszona spróbowałam się podnieść. Mój nagły ruch wywołał alarm. Urządzenie zaczęło piszczeć i mrugać szybciej. Po chwili do izolatki weszła pielęgniarka.

– No, wreszcie się śpiąca królewna wybudziła. – Posłała mi dobrotliwy uśmiech.

– Rodzina się ucieszy. Dwa dni była pani nieprzytomna. Nastraszyła nas pani tym upadkiem. Zwłaszcza męża. Tkwiłby na OIOM-ie cały czas, gdyby to było możliwe.

– Mąż...? – Patrzyłam na nią oszołomiona. Wrażenie zagubienia nasiliło się.

– Jaki mąż?

Wzrok pielęgniarki nabrał czujności.

– Pamięta pani, co się stało?

Wolno pokręciłam głowę. Nie miałam pojęcia, jak i czemu tu trafiłam. Niemłoda kobieta w fartuchu wciąż się uśmiechała.

– A jak się nazywasz, pamiętasz, kochanie? – spytała łagodnie. Chciałam odpowiedzieć, jak grzeczna dziewczynka, chciałam ją zadowolić, była taka miła, dobra... Wyteżyłam pamięć... i nic. Pustka. Nie wiedziałam, jak się nazywam. Nie wiedziałam, kim jestem!

– Za...zapomniałam! – wyjąkałam spanikowana.

– Nic, nic... – Pielęgniarka pogłaskała mnie po rękę. – To się zdarza przy wstrząśnięciu mózgu. Będzie dobrze, przypomnisz sobie, bez pośpiechu.

Neurolog potwierdził amnezję wsteczną, pourazową. Powtórna tomografia niepokojącego nie wykazała. Żadnego obrzęku ani wysięku w okolicach mózgowo-rdzeniowych. Należało po prostu spokojnie poczekać, aż pamięć wróci. Może nie

cała i nie od razu. Faktycznie, nim trafiłam na ogólną salę, sporo do mnie wróciło. Z uczuciem dojmującej ulgi odnalazłam własną tożsamość, ale zatrzymałam się we wspomnieniach na maturze. Potem film się urywał, jakbym przesadziła z oblewaniem zdanych egzaminów. W ciele trzydziestolatki tkwiła dusza abiturientki, pełna planów, nadziei i wiary w jutro. Niestety przyszłość chyba mocno mnie rozczarowała, stając się przeszłością, którą zapomniałam. Psychiatra podejrzewał amnezję dysocjacyjną; rodzaj mechanizmu obronnego, wyparcia. Z jakiegoś powodu nie chciałam pamiętać dziesięciu lat ze swego dorosłego życia, zakończonych groźnym upadkiem ze schodów – w niejasnych okolicznościach, które policja chciała wyjaśnić. Ponoć takie obowiązywały procedury, gdy dochodziło do bezpośredniego zagrożenia życia i zdrowia. Rozmowa z funkcjonariuszem była niby czystą formalnością, ale czułam się jak podejrzana.

– Czyli nie pamięta pani, jak doszło do wypadku?

Potaknęłam.

– I nie może pani ani potwierdzić, ani obalić wersji współmałżonka?

Nie mogłam.

– Według niego w zdenerwowaniu, spowodowanym małżeńską sprzeczką, nie zauważyła pani zabawki leżącej u szczytu schodów, potknęła się pani o nią i po prostu spadła. Tak było?

– Najwyraźniej. – Wzruszyłam ramionami. – Czemu miałby kłamać?

– Ja się pytam czemu? Czy w waszym małżeństwie często pojawiały się konflikty? Czy mąż bywał agresywny? Czy leczyła się pani wcześniej? Na depresję na przykład? – zarzucił mnie pytaniami, na które nie znałam odpowiedzi. Ich podtekst budził mój niepokój, bo sugerował, że wypadek nie był wypadkiem.

– Boże, nie pamiętam! – jęknęłam sfrustrowana.

– Dosyć już tego przesłuchania – włączył się lekarz. – Męczy pan pacjentkę. Wychodzimy. Upredzałem, że wiele nie powie.

– Takie mamy procedury – upierał się służbista. – Proszę mnie poinformować, gdy coś sobie przypomni – rzucił na odchodnym, mijając się w drzwiach z wysokim, przystojnym blondynem. Kiwnęli sobie głowami z niechętnym respektem. Policjant i kolejny podejrzany: Witek, mój mąż. Tak twierdzili, bo ja go nie pamiętałam. Dziwne... Jak mogłam zapomnieć tak niewiarygodnie pociągającego faceta? Z moją głową naprawdę było coś mocno nie w porządku. Ale hormony działały jak trzeba; gdy się zbliżał, puls mi przyspieszał. Nasze pierwsze spotkanie wypadło niezręcznie. Oboje nie wiedzieliśmy, jak się zachować, co powiedzieć, nawet jak się przywitać. Gdy się pochylił, owionął mnie podniecający zapach cygar i cedru. Chciał mnie chyba pocałować w policzek, ja przekręciłam głowę i ostatecznie zetknęliśmy się ustami. Zarumieniłam się. Czulałam się jak na randce w ciemno. Absurdalna sytuacja, biorąc pod uwagę, że ten niby obcy człowiek był zarazem najbliższą mi osobą. Gapiłam się na niego z przyjemnością i niedowierzaniem. To mój mąż? Musiałam mieć jakieś głęboko ukryte zalety. Bo z lustra patrzyła na mnie starsza o dziesięć lat, dojrzała, szczuplejsza, ale wciąż do bólu zwyczajna Kaśka, taka jak w szkole, żadna rewelacja. Przy własnej siostrze wypadałam blado. Zresztą Róża odwiedziła mnie tylko raz, i może lepiej. Amnezja wyostrzyła moje zmysły – mogłam nie pamiętać, ale z miejsca wyczułam przymus i udawaną troskę. Cóż, nie przepadałyśmy za sobą. W tym względzie dorosłość niczego nie zmieniła. Za to Witek... Co za facet! Jakim cudem go zdobyłam i utrzymałam przy sobie?

– Witaj, Kasiu, jak się czujesz? – Podszedł do mnie, pochylił się.

– Teraz lepiej... – Odruchowo nadstawiłam właściwy policzek. Pocałował mnie. Znowu wychwyciłam męski aromat tytoniu i cedru. Pociągnęłam nosem. – Podoba mi się ten zapach, seksowny.

– Tak? – Uniósł brew, wyraźnie zaskoczony. – Zawsze twierdziłaś, że zasmradzam dom, pozwalałaś mi palić tylko w gabinecie.

– Chyba byłam dość trudna we współżyciu... – Uśmiechnęłam się, licząc, że zaprzeczy.

– Czego chciał ten policjant? – zmienił temat. Nie chciał mówić o tym, jaka byłam; widać niezbyt sympatyczna. Tyle w kwestii ukrytych zalet.

– Sugerował, że zepchnąłeś mnie ze schodów – rzuciłam, ciekawa jego reakcji. Zesztywniał i umknął wzrokiem w bok. Czyżby miał coś do ukrycia?

– Uwierzyłaś mu?

– Nie. Nie pamiętam cię, ale nie wyglądasz na mężczyznę, który pozbywa się żony w tak drastyczny sposób. Prościej się rozwieść.

– Nie chcesz dać mi rozwodu – wyrwało mu się. – Przepraszam, nie tak zamierzałem ci o tym powiedzieć, nie teraz...

– A jak? – Westchnęłam. – Oględniej się tego wyrazić nie da. Czuję, że to zbyt piękne, aby było prawdziwe. Trudno. Z dwojga złego lepiej teraz niż później. Podobasz mi się, i to bardzo. Ale skoro już wiem, że nic z tego, postaram się w tobie nie zakochać. – Puściłam do niego oko.

Słuchał mnie, coraz wyżej unosząc brwi. Widać nie przywykł do takiej mnie. Znowu przyszło mi na myśl, że nim straciłam pamięć, byłam osobą mało przyjemną, skrytą i przewrażliwioną. Amnezja miała swoje plusy. Wraz ze wspomnieniami zabrała tę część mnie, której raczej bym nie polubiła. Idąc za ciosem, zapytałam:

– Masz kochankę? Zrozumiem...

– Boże, nie, ile razy mam ci to powtarzać?! – zirytował się momentalnie. – Właśnie to zniszczyło nasze małżeństwo, twoja wieczna podejrzliwość i zazdrość. O byle uśmiech, spóźnienie, telefon, maila... O to się kłóciliśmy, nim spadłaś, potykając się o tę piekielną zabawkę! Była tam, do cholery, nie zepchnąłem cię! – krzyknął ze złością i goryczą.

Ale nie dlatego zamarłam, zaciskając powieki. Tętno ruszyło z kopyta. Zabawka...? U szczytu schodów... Kto porzuca swoje zabawki, gdzie popadnie? Choć

tyle razy prosiłam, by tego nie robił... Odruchowo przyłożyłam rękę do brzucha. Zalała mnie fala obrazów. Ja w ciąży, wielka jak wieloryb, drobne nóżki i rączki kopiące mnie od środka, wody płodowe, które odeszły za wcześnie, szaleńcza jazda autem w środku nocy, strach, błagalna modlitwa „poczekaj, skarbie, poczekaj!”, potem przeraźliwy ból skurczy i wreszcie głośny, protestujący płacz mojego synka. Ulga, radość, miłość, szczęście, tęsknota – tyle uczuć, tak silnych. Jak mogłam zapomnieć?!

– Staś... – szepnęłam przez łzy.

– Przypomniałaś sobie, wreszcie... – Witek odetchnął. – Nie chciałem go tu przyprowadzać wcześniej. Ma tylko dziewięć lat, nie zrozumiałby, że mama go nie pamięta. Co jeszcze sobie przypomniałaś? – Nagle nabrał czujności.

Łzy ciekły mi po twarzy ciurkiem.

Wszystko! – chciałam krzyknąć, ale milczałam. Natłok wspomnień był zbyt bolesny. „Nie jest twój!” – wykrzyczałam mu wtedy w twarz. Bo chciał mi zabrać syna, starać się o opiekę, ze mnie zrobić wariatkę i histeryczkę! Wyraz jego oczu przeraził mnie. Bałam się, że mnie uderzy, zaczęłam się cofać... I spadłam, za karę. Staś był jego dzieckiem. Zresztą tylko on go przy mnie trzymał. Zaszłam w ciążę celowo, a on był zbyt honorowy, by unikać odpowiedzialności. Zakochałam się w chłopaku własnej siostry. Poznałam go tuż po maturze, flirtował ze mną i stało się. Ogarnęło mnie jakieś szaleństwo; musiałam go zdobyć i posunęłam się do podłości. Uwiodłam go, złapałam w pułapkę. Róża nigdy mi tego nie wybaczyła. Próbowałam być wspaniałą żoną, ale wyrzuty sumienia mnie zjadały. Po kilku latach przyszedł kryzys. Zamiast go wspólnie przezwyciężyć, wpadłam w obsesję zazdrości. Podejrzywałam Witka, że znowu spotyka się z Różą, że dawne uczucie odżyło. Im bardziej zaprzeczał, tym mniej mu ufałam. I straciłam go! Nigdy mi nie daruje tych okrutnych słów! Wołałabym ich nie pamiętać...

– Kasiu...? – Dotknął mojej dłoni. – Źle się czujesz? Mam zawołać lekarza? To pewnie szok. Przypomniałaś sobie...

– Nie! – skłamałam odruchowo. Nie byłam gotowa na zmierzenie się z prawdą. – Pamiętam Stasia, siebie, sceny z życia rodzinnego, ale ciebie w nich nie ma. Jakbym grała w filmie, w którym ty stałeś za kamerą... Przepraszam – szepnęłam. Modliłam się, żeby uwierzył, żeby nie drażył. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się z przekąsem.

– Widać zasłużyłem sobie. Nie byłem najlepszym mężem. Za dużo pracowałem. Wciąż się skarżyłaś z tego powodu. Nieobecny usprawiedliwiony... Tak było mi łatwiej, wygodniej... To ja przepraszam. Rozwodem się nie przejmuj, mamy czas. Najważniejsze jest teraz twoje zdrowie. Lekarz mówi, że za parę dni będę mógł cię zabrać do domu.

– Czy... – zawahałam się, ale musiałam wiedzieć – czy mamy jakąś szansę? Witek, czy sądzisz, że moglibyśmy jeszcze być razem? Przecież kiedyś chyba mnie kochałeś? – Wpatrywałam się w niego z nadzieją. Okazało się, że też umie być bezwzględny.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Zapomniałem. Epidemia jakaś...

Wypisali mnie kilka dni później. Zalecili sesje z terapeutą; miały pomóc w leczeniu amnezji. Kłopot polegał na tym, że nie było czego leczyć, poza złamanym sercem. Na szczęście pozostał mi Staś. Na moje powitanie obwiesił dom balonikami i serpentynami, które zostały po sylwestrze. Rzucił mi się na szyję i zapytał, czy ta wstrząśnięta głowa już mi się zagoiła. Wiedział, że spadłam ze schodów, ale Witek oszczędził mu informacji o roli, jaką w wypadku odegrała porzucona zabawka. Słusznie. Dość wyrzutów sumienia jak na jedną rodzinę. Postanowiłam zachowywać pogodę ducha, bez względu na to, co los przyniesie.

Ta odmiana wciąż od nowa zdumiewała mojego męża. Skończyły się awantury, wyrzuty, wieczne pretensje. Zdarzało nam się żartować, rozmawiać o wszystkim

i niczym, albo milczeć bez skrępowania. Pod pozorem amnezji wypytywałam go o pracę, plany, zainteresowania. Po raz pierwszy tak naprawdę poznawałam swojego męża i chcąc nie chcąc zakochiwałam się w nim od nowa. Ale inaczej, bez żądań, bez warunków. On też poznawał inną Kasię – taką, jaką mogłam być, jakiej zawsze pragnął. Nie wspominał już o rozwodzie. Częściej bywał w domu. Przyłapywałam go, jak mi się ukradkiem przygląda. Bał się, że moja odmiana jest tymczasowa, że wraz z pamięcią powróci dawna Katarzyna. Pewnie dlatego mimo okazywanej mi troski zachowywał dystans. Nie całował mnie, nie przytulał. Unikał wszelkiej intymności. Sama zapędziłam się w tę pułapkę. Przecież wciąż udawałam, że go nie pamiętam. Jednak chyba nie do końca mi wierzył. Czasami rzucał na wabia jakieś znajome nazwisko, datę – i sprawdzał moją reakcję. Sprytny był, a ja powoli miałam dosyć pilnowania się na każdym kroku. Po co? Żeby dłużej i bardziej bolało, gdy w końcu wróci do rozmów o rozwodzie? Byłam zmęczona udawaniem, nowa ja wolała szczerość. Tylko jak się przyznać? Gotów pomyśleć, że celowo nim manipulowałam. Pomogła mi jego dociekliwość. Uparł się, by ustalić, jaką grupę krwi ma Staś.

– Na wszelki wypadek. Sama najlepiej wiesz, że wypadki chodzą po ludziach.
– Sprawdź, skoro musisz. – Wzruszyłam ramionami. – Ale to zbędne, ma 0Rh+.
– Jak... ja? – zdziwił się przesadnie.
– Jest twoim synem, więc cóż w tym niezwykłego.
– Nie masz wątpliwości? – Wwiercał się we mnie wzrokiem.
– Nie. – Nerwowo przełknęłam ślinę, ale odważnie odwzajemniłam spojrzenie.
– Nieważne, co mogłam powiedzieć w złości. Kłamałam, by cię zranić, jak ty mnie. Wystarczy na niego spojrzeć. Skóra zdarta z tatusia, te same oczy, nos, tak samo unosi brwi jak ty, podobnie się uśmiecha. Jest dobry, dzielny, kochany. Mam nadzieję, że gdy dorośnie, odziedziczy także twój zabójczy urok i niewątpliwą inteligencję. – Ratowałam się żartem, bo wstał od stołu i podszedł bliżej. Za blisko.

Poczułam tak dobrze znajomy zapach cygar i cedru. Ścisnęło mnie w dołku. Marzyłam, by go dotknąć, objąć, utonąć w nim...

– Dobry, dzielny, inteligentny, przystojny? Tak mnie postrzegasz? – zapytał cicho. – Ale pamiętać nie chcesz? Może lepiej. Zmieniłaś się, do takiej tęskniłem. Ale od kiedy wróciłaś ze szpitala, boję się, że sobie przypomnisz... co ci nagadałem, jak groziłem... Boże!... Wariuję. A to pamiętasz?

Złapał mnie w pasie, przyciągnął do siebie i pocałował. Tu złagodniał. Niespiesznie muskał ustami dolną wargę, droczył się z językiem, aż jęcząc, prosiłam o więcej, mocniej. Ochoczo spełnił moją prośbę. Potem patrzyliśmy na siebie, dysząc ciężko.

– Te schody, wypadek... – twarz Witka przeszył skurcz bólu – to moja wina. Mogłem cię stracić na zawsze. Wybacz mi, zapomnij, jeśli potrafisz...

Pogłaskałam go po policzku.

– Już zapomniałam.

Namiętność

Poczułam znajomą woń przy regale z nabiałem. Ledwie cień woni, ale postawił na bacność moje zmysły. Wzięłam głębszy wdech, tak... Słabiutki, ale charakterystyczny zapach cytrusów, morskiej bryzy i mięty sprawił, że momentalnie poczułam dreszczyk podniecenia. Ten zapach kojarzył mi się jednoznacznie. Z namiętnością, z Pawłem. Musiał tu być. Całkiem niedawno. Może nadal robił zakupy? Rozejrzałam się dyskretnie. Tam! Stał przy stoisku z pieczywem. Zrobiłam krok w jego kierunku. I następny, i jeszcze jeden. Przybliżałam się, jak ćma do światła, jak przyciągany magnesem opilek metalu... Zatrzymał mnie dopiero głos małego chłopca. Malec wstał z kucek; w każdej ręce trzymał po drożdżówce.

– Tata, a Lenka woli z dżemem czy z serem?

– Twoja siostra woli ciastka francuskie, ale drożdżówki też weźmiemy, bo już ich dotknąłeś. Naucz się, towar dotknięty uważa się za sprzedany. – Mężczyzna potargał synkowi czuprynę.

Naraz zamarł w bezruchu. Coś wyczuł. Może mój wzrok, może moje perfumy, może po prostu... mnie? Podległy działaniu tej samej niewidzialnej siły, ciągnącej nas do siebie, obrócił głowę i zrobił bezwiednie krok w moją stronę, i jeszcze jeden, i kolejny.

Odwróciłam się i odeszłam. Łącząca nas nić napięła się niemal do granic bólu. Pękła dopiero wtedy, gdy zgubiłam trop jego zapachu. Przy kasie. Zapłaciłam i czym prędzej wróciłam do domu. Tu na niego poczekam. Wiedziałam, że przyjdzie. Nie miałam pojęcia, kiedy to się skończy, ale póki trwało, póty byliśmy od siebie uzależnieni. Nałogowcy namiętności. A zaczęło się od łez...

Wtedy też wyszłam ze sklepu, zagubiona w swoich smętnych myślach. Jak co piątek robiłam zakupy na cały weekend. W siatce dźwigałam ulubione smakołyki

Jeremiego. Puskę czarnego kawioru, ser pleśniowy, czerwony grejpfrut... Boże, wciąż to dla niego kupowałam! Od jego śmierci wszystko robiłam odruchowo, z przyzwyczajenia – jadłam, oddychałam, wychodziłam z psem, głaskałam kota, pracowałam. Inaczej bym się rozsypała jak domek z kart! Mijał rok, od kiedy zostałam sama. Jeremi był ode mnie sporo starszy i liczyłam się z tym, że odejdzie pierwszy, ale... nie tak wcześnie! Ledwie skończył pięćdziesiąt dziewięć lat, ja trzydzieści osiem. Nie mieliśmy dzieci, bo on nigdy nie chciał, a ja nie mogłam. Za to mieliśmy jeszcze tyle wspólnych planów, marzeń... Rozległy zawał je zniweczył. Mój ukochany zniknął nagle, bez ostrzeżenia, pożegnania. Nie byłam na to przygotowana! Po dwudziestu latach małżeństwa, po spędzeniu połowy życia z człowiekiem, który był moim pierwszym i jedynym mężczyzną, moim przyjacielem, mistrzem, podporą, drogowskazem – zagubiłam się. Nie wiedziałam, jak dalej żyć, jak sobie radzić z dojmującą samotnością. Więc jak liny ratunkowej, jak światła latarni morskiej trzymałam się rutynowych czynności. Nie zmieniłam rozkładu dnia ani tygodnia, oglądałam te same programy w telewizji, spotykałam się z tymi samymi znajomymi. Chodziłam do tego samego sklepu i kupowałam te same rzeczy, co sprawiało, że spiżarnia i lodówka pękały w szwach od zbędnych produktów. Boże, Boże... Nie tak miało być! Wierzyłam w miłość po grób, ale nasze „na zawsze” trwało za krótko. I co dalej? Z trudem przetrwałam jeden rok, trzymając na zewnątrz fason. Jak zniosę następnych trzydzieści, czterdzieści lat?! Czułam się oszukana, zdradzona. Łzy pchały mi się do oczu. Nie zauważyłam krawężnika, potknęłam się, upuściłam siatki. Zakupy rozsypały się, niesforny grejpfrut potoczył się aż na jezdnię... Stałam i patrzyłam. Jakbym straciła zdolność ruchu, decydowania.

Pojawił się znikąd. Zza mgły łez. Mężczyzna, którego znałam z widzenia, ze sklepu i ze spacerów z psem. Mieszkał w okolicy. I był miły. Dotąd tylko mi się kłaniał, teraz podniósł owoc, pozbierał resztę wiktuałów i podszedł do mnie.

– Gorszy dzień... – mruknął ze współczuciem.

Dzień? Cały rok był okropny! Chciałam coś odpowiedzieć, cokolwiek, choćby zaśmiać się z gorzką ironią, ale nie dałam rady wydusić z siebie żadnego dźwięku. Jakby ciężki kamień przygniótł mi piersi, a silna ręka złapała za gardło. Wziął mnie pod ramię i pociągnął w stronę przejścia dla pieszych.

– Zaprowadzę panią do domu.

Wiedział, gdzie mieszkam. Jakoś mnie to nie zaniepokoiło. Załzawione oczy nie widziały go dokładnie, ale inne zmysły nie wznieciły alarmu. Miał ciepły, niski głos, łagodne ruchy, pozbawione wahania czy nerwowości. Pachniał też dobrze – męską świeżością, bezpieczeństwem. Wzbudzał zaufanie, więc pozwoliłam się poprowadzić do domu.

Przekroczyliśmy próg, on pierwszy, jakby sprawdzał, czy wszystko w porządku. Pies zamachał ogonem na jego widok, szczeknął parę razy dla zasady, kot otarł się o jego nogi; czyli zwierzaki również obdarzyły go zaufaniem. Udaliśmy się do kuchni, gdzie zaniósł zakupy. Spojrzał na mnie, złapał za ramiona, delikatnie ścisnął i spytał cicho:

– Mogę jeszcze jakoś pani pomóc?

Trochę uspokoiłam się przez drogę, ale jego tkliwość sprawiła, że znowu się rozkleiłam. Łzy pociekły ciurkiem po wykrzywionej rozpaczą twarzy. Nie miałam już siły udawać silnej, młodej wdowy, przed którą jeszcze całe życie, która jeszcze mogła być szczęśliwa. Przyjaciele to powtarzali, rodzice... Niedobrze mi się robiło od ich banalnych pocieszeń. Łapa na tchawicy rozluźniła palce i z gardła wydarł mi się głośny szloch.

Przytulił mnie. Bez zastanowienia. A ja uczepliłam się go z całych sił, szukając ciepła, ulgi, ucieczki.

– Boże! Mam dosyć. Już nie daję rady! Przytul mnie, proszę... mocniej, bardziej! – łkałam.

Posłuchał. Jego ręce ożyły, głaszcząc mnie po plecach, barkach, szyi. Nie obchodziło mnie, czy wypada, aby obcy mężczyzna tak intymnie mnie obejmował. Całował...?

Tak! Sama podsunęłam mu usta. Niech całuje i choć na chwilę uwolni mnie od tej straszliwej pustki, niech zapełni ją namiętnością. Skąd się wzięła między nami? Jakim cudem delikatne muśnięcie warg, nieśmiały splót języków wywołały pożar? Ale wywołały. Pożądanie wybuchło z nienacką i zapłonęło silnym płomieniem.

– Tam! – Wskazałam ręką drogę.

– Jesteś pewna? – wydyszał zaczerwieniony, spragniony.

Kiwnęłam głową.

Wziął mnie na ręce i zaniósł do sypialni. Bez słów zrywaliśmy z siebie ubrania, aż zostaliśmy nadzy. Wtedy rozpoczął się nasz niemy dialog. Rozmawialiśmy oczami, sycąc się widokiem naszych podnieconych ciał. Szeptaliśmy dotykiem dłoni, poznając nawzajem kształty swoich ud, ramion, brzuchów, pośladków. Krzyczeliśmy pocałunkami, głębokimi, namiętnymi, sięgającymi dna samotnej duszy. Czyżby i on był nieszczęśliwy, zagubiony we własnym smutku?

Skończyło się równie nagle, jak wybuchło – gwałtownym spełnieniem. Nie czułam wstydu. Ulga była zbyt duża, stan nieważkości zbyt przyjemny.

– Zapaliłbym... – mruknął. – O ile pozwolisz, bo moja żona... Wybacz, niestosowna wzmianka, ale rozwodzimy się, uspokoję cię...

Spojrzałam na niego. Wydawał się speszony uwagą o żonie. Niepotrzebnie. Żonaty czy rozwodnik, nie miało to dla mnie znaczenia. Nie oczekiwałam od niego obietnic ani uczucia. Już je miałam i syciłam się swoim szczęściem, póki trwało. Nie szukałam nowego, strata za bardzo bolała. Wciąż dręczyły mnie wspomnienia i tęsknota. Choćby za zapachem fajki, którą palił Jeremi. Słaby aromat tytoniu wciąż unosił się w domu. Dym papierosowy mógłby go zabić.

– Zapal. – Uśmiechnęłam się zachęcająco.

Odtąd wpadał, gdy mógł. Często. Otwierałam mu drzwi i ramiona, jeżeli akurat byłam w domu. Z reguły byłam, choć nie umawialiśmy się konkretnie, by nie tworzyć nawet pozorów związku. Nie chciałam od niego miłości – tylko namiętności, która tłumila smutek i żal. Uzależniłam się od niej, od żądz, jakiej nie czułam od dawna. Nawet Jeremi nie budził we mnie takiego pragnienia. Nielojalna myśl? Kto mi to wypomni? Nikt. Może Paweł. Ale jemu przeszkadzało raczej, że wciąż ich porównuję.

Zjawił się niedługo po spotkaniu w sklepie. Wiedziałam, że przyjdzie, czekałam, marząc o jego dłoniach i ustach. Spełniło się... Choć gdy całował mnie od czubków palców po czoło, był bardziej czuły niż namiętny. Zafundował mi słodko-gorzka rozkosz. Za karę?

– Nigdy nie będziesz moja tak do końca, prawda? – spytał, paląc później papierosa.

– Towar dotknięty uważa się za sprzedany – spróbowałam wykręcić się żartem.

– A tam? – Przykrył dłonią moją pierś. – Tam cię dotknąłem? Dosięgnąłem serca?

Zadrzałam. Nie z zimna, ale ze strachu. Bo, Boże mój... dotknął!

I co teraz?

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Natasza Orsa: W świetle Jonasza

Intymna podróż w poszukiwaniu miłości.

Monika to młoda, samodzielna kobieta, która po rozwodzie obiecała sobie, że nigdy więcej nie zaangażuje się emocjonalnie. I z takim nastawieniem wkracza w pełen erotyki świat Jonasza. Mężczyzny tajemniczego, niebezpiecznego, który działa na nią jak żaden inny dotąd. Niczym prywatny narkotyk. Nie pojmuje, co się z nią dzieje. Nigdy tak nie reagowała, nigdy nie była tak bezwstydna. Śmiałe seksualne doświadczenia są dla Moniki fascynującą, choć nieco zatrważającą nowością. Zwłaszcza że Jonasz, wprowadzając kochankę w świat zmysłów i pożądania przekraczającego granice rozsądku, ma swój cel. Chce niewiele i bardzo dużo zarazem. „Nie broń się przede mną – żąda – i... Kochaj mnie”. Ale zraniona, nieufna Monika boi się miłości. Czy spotka ją za to kara?

Joanna Łukowska: Nieznajomi z parku

Miłość od nienawiści dzieli krok.

On jest bogaty, doświadczony, nieufny. Ona – wrażliwa, introwertyczna, pełna kompleksów. Oboje niosą bagaż trudnego dzieciństwa. Po raz pierwszy spotkali się w parku. Wtedy też po raz pierwszy od niego uciekła...

Zafascynował ją i przeraził jednocześnie. Zawsze bała się takich mężczyzn: silnych, pewnych siebie do granic arogancji, mrocznych i skomplikowanych. Był zły i przestraszył ją, ale nie mogła o nim zapomnieć. Irracjonalny lęk, jaki w niej wzbudził, przekonał ją, jak pozorny był jej spokój i ćwiczone całymi latami opanowanie. Bezpieczeństwo, którego szukała w swoim cichym, uporządkowanym świecie, okazało się złudne i kruche...

Nieznajomi z parku to w równym stopniu opowieść o miłości, jak i o nienawiści. To historia mężczyzny, który nie potrafi ufać, i kobiety, która nie umie walczyć o to, w co wierzy.

Monika Gabor: Uwaga na marzenia

Trzy różne kobiety – trzy różne historie.

Podglądamy miłosne i życiowe perypetie trzech przyjaciółek. Każda z nich jest inna, każdej przytrafia się coś innego, każda inaczej reaguje.

Iza, aktywna zawodowo, ambitna i kompetentna, również prywatne życie bierze we własne ręce, dokonując wyborów na przekór wszystkim i wszystkiemu. Dąży do celu, którym jest szczęście, nie słuchając rad i nie bacząc na konsekwencje.

Marta to domatorka spełniająca się w roli żony, matki, gospodyni domowej. Rozwód jest dla niej szokiem, zarazem początkiem zmian. Jak wpłynie na nią rozpad rodziny? Czy będzie umiała jeszcze komukolwiek zaufać?

Julia wie o życiu, o którym marzy każda z nas. Kochający mąż, mądra córka, satysfakcjonująca praca... Gdzie tkwi haczyk? Czy traumatyczne dzieciństwo wpłynęło na wybór zawodu? Czy

można być jednocześnie lojalną przyjaciółką, kompetentnym psychologiem i uczciwym człowiekiem? A gdy trzeba wybrać...

Aneta Rzepka: Magia kasztana

Nie wierzysz w talizmany? Nie musisz. Wystarczy, że pozwolisz działać magii...

Po śmierci rodziców życie Kamili całkowicie się zmienia. Musi opuścić dom, przyjaciół, ukochaną wieś i przeprowadzić się do stolicy, by zamieszkać z ciotką, której nie zna. Ma nadzieję, że kiedyś wróci do domu, ale świat pędzi do przodu, pozbawiając ją złudzeń. W pokonywaniu codziennych trudności pomaga jej... kasztan i uczucie do chłopaka o kasztanowych oczach.

Małgosia jest realistką twardo stającą po ziemi. Kocha, mocno i szczerze, niestety bez wzajemności. A układ koleżeński to dla niej za mało. Próbuje uciec przed uczuciem, pakuje się w spore kłopoty. Ofiarowany przez przyjaciółkę kasztan budzi uśmiech niedowierzania, lecz wbrew rozsądkowi przyjmuje talizman, bo kto wie... *Magia kasztana* to powieść o codzienności, w którą wplątała się czarodziejska nić nadziei...

Joanna Łukowska: Państwo Tamickie

Kraina niezwykłej codzienności.

Powieść obyczajowa w dwudziestu epizodach, które łączy para bohaterów – młode małżeństwo, wchodzące w dorosłe życie na przełomie lat 80-tych i 90-tych ubiegłego wieku. Zaczyna się od „ślubu z rozsądku”, czyli... dla mieszkania. Takie były czasy, że osobie samotnej przysługiwała zaledwie kawalerka, a małżeństwu „aż” M3. Sporo humoru w codzienności, czasem zaskakujący finał, trochę wzruszeń i smutku, trochę grozy, odrobina magii... Jak to w życiu.

Bohaterami są ludzie, duzi i mali, zwierzęta, duchy oraz święci.

Książka, która bawi, wzrusza i pokrzepia. To patchworkowa opowieść, w której kolejne rozdziały są jak kolorowe kawałki kołdry – każdy inny, ale razem tworzą zgrabną i ciepłą całość.

E. M. Thorhall: Zamek Laghortów

Ostrzegamy: ta opowieść wciąga i pochłania.

Nie będziecie się mogli doczekać ostatniej strony, a potem będziecie żałować, że to już koniec. Akcja, turnieje, dworskie obyczaje, intrygi, zjawy, dziwne istoty, rodzące się uczucie, którego obie strony się wypierają, humor, barwny język, plastyczne opisy – to wszystko znajdziecie w I tomie powieści z cyklu ZBROJNI pod tytułem: *Zamek Laghortów*.

Młodziutka Kyla, uciekając przed niechcianym ślubem, trafia pod opiekę Sir Eryka i jego żony Lady Lyanny. Poznaje zamek, jego mieszkańców, nawiązuje przyjaźnie, uczy się fechtunku, odkrywa prawdę o swoim pochodzeniu. Wiele się wokół niej dzieje. Wszyscy zdają się lubić i akceptować jasnowłosą podopieczną Laghortów, prócz jednej osoby: ponurego, opryskliwego Morhta. Ten pochodzący z Varthen surowy i oschły dowódca najemników z jakiegoś powodu od samego początku nie znosi dziewczyny i nie zamierza jej pobrać. Panna drażni go, irytuje i wzbudza niezrozumiały dla niego samego gniew. Kyla znosi jego zachowanie do czasu...

Mroczne dziedzictwo, Marian Kowalski

Opowieść o miłości, przeznaczeniu i czarownicach.

Spotykają się na zjeździe poświęconym zjawiskom nadprzyrodzonym. Daniel jest sceptycznym niemieckim dziennikarzem, żyjącym teraźniejszością, nieczującym związku z rodziną i jej historią. Irena to polska rzeźbiarka, za którą ciągnie się tren odległej przeszłości. Mroczna scheda po przodkach nie daje o sobie zapomnieć. Ma wpływ na jej obecne życie oraz na losy związanych z nią mężczyzn. Na plenerze rzeźbi posązek swej dalekiej krewnej spalonej na stosie; duch kasztelanki – opiekuńczy? żądny zemsty? – wciąż jej towarzyszy. W powieści przewijają się wątek Inkwizycji i procesów budowanych na pomówieniach; pojawiają się postaci „czarownic”, ich bezlitosnych sędziów, oraz potomków jednych i drugich.

W historii pełnej tajemnic nie może zabraknąć motywu ukrytego skarbu, sporów rodzinnych sprzed wieków prowadzących do okrutnej śmierci i nagłych a niejasnych zgonów w teraźniejszości. Wiele tu legend, aluzji, dywagacji oraz... uczucia. *Mroczne dziedzictwo* to niesamowita opowieść o miłości, przeznaczeniu, szukaniu miejsca w życiu, to historia intrygująca i fascynująca.

Katarzyna Woźniak: Hydra pamiątek

Historia jednej podróży, która staje się opowieścią o miłości i spełnianiu marzeń.

Czy pracownica banku może przeobrazić się w artystkę, czarującą słuchaczy głosem i grą na gitarze? Czy pełna kompleksów kobieta może rozkochać w sobie mężczyznę odważnie podążającego za swymi pragnieniami? Czy Polka i Węgier odnajdą w Amsterdamie wspólne szczęście i drogę do swoich serc? Czy można zapomnieć o bagażu przeszłości, który dźwigamy jak niechciany garb? Czy potrafimy wystawić za drzwi walizki wyuczonych zasad i narzuconych priorytetów, które nie pozwalają nam iść od przodu?

Anna, będąc świadkiem śmiertelnego wypadku, uświadamia sobie, że jej wypełnione karierą życie tak naprawdę pozbawione jest sensu, emocji i głębszej treści. Ona już jest jak martwa. Nikogo nie kocha, niczego nie pragnie, nie ma pewności, czy to, co osiągnęła, było jej celem, czy spełniała tylko oczekiwania innych. Targana wątpliwościami, dręczona poczuciem niespełnienia, podejmuje próbę porzucenia wyuczonych przez społeczeństwo nawyków i wartości. Opuszcza rodzinny kraj i wkracza do zupełnie nowego świata.

Anna Rybkowska: Nell

Natalia to przykładna żona i matka, która spełnia się, dbając o dom i rodzinę. Nie ma pojęcia, że czegoś jej brakuje, że za czymś tęskni. Nie musi lękać się swoich marzeń, bo... ich nie ma. Przypadkiem nawiązuje internetową znajomość z Wiliamem Barlowem, angielskim muzykiem rockowym, idolem swojej własnej córki. Gdy dostaje od niego zaproszenie na koncert w Londynie – postanawia pojechać.

Zostawia za sobą swojski Poznań, kochane, choć czasem męczące dzieci, małżeńską rutynę, znajomy, bezpieczny świat i podąża ku nieznanemu...

On nazywa ją Nell. I budzi w niej coś, czego się nie spodziewała, czego nie chciała, czego się lęka i o czym nie może przestać myśleć. Czy będzie umiała się temu oprzeć? Dla dobra rodziny. Dla spokoju własnej duszy...

A co z rozbudzonym ciałem?

Bajkowa historia, która staje się dramatem. Obyczaj, który przeistacza się w zmysłowy thriller o opętaniu. Opowieść o miłości, odpowiedzialności, pożądaniu, które niszczy, ale właśnie dzięki niemu życie nabiera barw, smaku, zapachu.

Joanna Łukowska: Wybory

Gdy dorastas, rodzice wciąż traktują cię jak dziecko, zarazem każą podejmować życiowe decyzje.

Zbiór siedmiu pełnych ciepła i humoru nowelek, opowiadających o dorastaniu, przyjaźni, miłości i podejmowaniu decyzji: tych błahych i tych na całe życie. Coś dla młodszych i starszych, dla dziewcząt i chłopaków, dla wszystkich, którzy nie wstydzą się swoich uczuć.

Tytułowe „Wybory” to historia rozgrywki między prymuską Zosią a nonszalanckim Antkiem Romanem, dwojga imion, z których jedno jest nazwiskiem. Oboje, nieco wbrew sobie, zostają wmanewrowani w wybory na przewodniczącego samorządu szkolnego. Kto wygra? A może inne wybory okażą się dużo ważniejsze...

Kolejne opowiadania o znamiennych tytułach zapewnią czytelnikom wiele emocji i zaskakujących point: „Pyzo, wróć”, „Dziennik, pryszcze i cudze sekrety”, „Działka, moja zmora”, „Wakacje w siodle”, „Korepetycje z przyjaźni”, „Smok i dziewczica”.